

Kochać naprawdę.

Felieton do lekcji Szkoły Sobotniej na 9 stycznia 2010

Kiedy myślimy na temat pierwszego owocu Ducha – miłości – warto zastanowić się nad jednym małym słowem, które pojawia się obok słowa *miłować* w tekście ewangelii Jana. Słowo to zawiera w sobie ogromne wyzwanie dla nas. Wiele razy było ono wyzwaniem w moich osobistych relacjach z innymi ludźmi, zarówno w rodzinie jak i w kościele. Tym słowem jest wyraz „jak” w Jn 15,12. Pan Jezus powiedział ‘... abyście się wzajemnie miłowali, *jak* Ja was umiłowałem’. W tym kontekście słowo „jak” oznacza „w ten sam sposób”. Możemy następująco sparafrazować tę wypowiedź: „Moja miłość do was jest modelem. Chcę abyście kopiowali ten model w waszych wzajemnych relacjach.”

Model często posiada kluczowe znaczenie w budowaniu dobrych relacji. Badania wykazały, że osoby, które utraciły w dzieciństwie jednego lub obu rodziców odczuwają w swoim dorosłym życiu brak modelu. Stwierdzają oni, że nie wiedzą jak mają postępować ze swoimi dziećmi, ponieważ nigdy nie mieli kogoś, kto mógłby ich nauczyć, w relacji jeden do jednego, co znaczy być matką lub ojcem. Osoby te stwierdzają, że nie posiadają pewności, w jaki sposób powinny się zachowywać. Nikt nie powiedział im w osobistych relacjach jak na przykład należy kupować odzież lub jak być mężczyzną. Osoby takie twierdzą, że ich życie podobne jest do chodzenia w ciemności.

W naszej chrześcijańskiej podróży również często czujemy, że chodzimy w ciemności – potrzebujemy kogoś, aby za nim być, jeżeli chcemy wypełnić przykazanie „miłujcie się nawzajem”. Miłowanie „tak jak miłował Jezus” wydaje się być wielkim wyzwaniem. Często możemy się czuć jak dzieci w przedszkolu, które właśnie nauczyły się formować literki i którym równocześnie polecono, aby pisać teksty literackie. Oto powód, dlaczego jest ważne, aby ponownie przemyśleć, co może oznaczać małe słówko „jak”.

„Jak” nie jest dokładnie kwalifikującym wyrazem, który wskazuje na coś, co można zmierzyć. Jest to wskaźnik określający tajemniczą jakość, smak, istotę – której przecież nie można zmierzyć – istotę którą można jedynie doświadczyć i poznać w „wewnętrznym człowieku”.

Pisarze Biblii rozplątują się na temat miłości Boga. W znanej pieśni śpiewamy o miłości – Boskim darze. Czasami jednak w tym wielkim lirycznym uniesieniu jest ukryta pokusa do romantyzowania miłości Bożej – czynienia miłości Jezusa koncepcją intelektualną – tak bardzo abstrakcyjną, i tak idealną, że potrafimy o niej śpiewać pełną piersią w kościele, uśmiechając się błogo do naszych braci i sióstr i odchodząc bez żadnej zmiany.

Jednak radykalna zmiana i skorygowanie naszych naturalnych sposobów postępowania jest tym, co polecił czynić Pan Jezus, kiedy rozkazał nam kochać. Przypomniał On swoim uczniom, „Nawet poganie kochają tych, którzy ich kochają”. Wszyscy kochamy ludzi, którzy są tacy jak my. To jest łatwe.

Jednak probierczym stemplem dla chrześcijanina jest w pewnym sensie, nienaturalny rodzaj relacji – miłość, która w jakiś sposób potrafi odpowiedzieć w pozytywny sposób tym, którzy nas nie miłują i nie rozumieją, tym, którzy się nam sprzeciwiają, tym, którzy traktują nas jak głupków i pomniejszają nasze znaczenie, tym, którzy irytują nas i co do których czujemy obrzydzenie. Być może jest to trudniejsze dla tych, którzy czują, że zostali powołani do głoszenia ewangelii światu, zostali powołani, aby kochać – (tzn. rozwijać ten najbardziej nienaturalny rodzaj relacji) tych, którzy nie są w ogóle nami zainteresowani, ani naszym świadectwem. Zostaliśmy powołani do kochania tych, którzy wydają się być tylko zainteresowani swoim własnym (tak przynajmniej my ich postrzegamy!), małym, samolubnym życiem. Kiedy zaczynamy myśleć o tych „innych”, możemy zobaczyć jak wielkie zadanie otrzymaliśmy od Pana Jezusa. Jesteśmy powołani, aby kochać tych, których, w naszym kościele, lub być może tylko w prywatności

naszych umysłów, opisujemy językiem osądzania i dezaprobaty, jako „samolubnych”, „niemądrych”, „hipokrytów”, „grzeszników”, „czyniciele zła”, „światowych ludzi”, „nie-chrześcijan”, „nie-adwentystów, „ludzi świeckich” etc. ... możemy do tej listy dołączyć nasze osobiste etykiety – wyrażone przy pomocy naszego własnego języka dezaprobaty.

Na końcu, a być może jest to najtrudniejsze ze wszystkiego, zostaliśmy powołani do kochania tych, w naszej własnej chrześcijańskiej rodzinie, którzy widzą wszystko to, co wcześniej wymieniliśmy inaczej niż my – ale dla nich, mamy inny zestaw etykietek – to konserwatyści lub liberałowie.

To jest duże wyzwanie. Najłatwiejszą rzeczą, zwłaszcza w obrębie kościelnej wspólnoty, jest specjalizowanie się w przyklepaniu etykietek – specjalizowanie się w tanim osądzaniu, a nie w drogiej miłości i zrozumieniu. Częściej skupiamy uwagę na tym, co jest „poprawne” niż na tym, co i jak należy kochać. Jak możemy nauczyć się kochać? To musi być moje jedyne pytanie.

Zauważyłem, że ludzie najczęściej uczą się kochać w jeden podstawowy sposób – wtedy, gdy są kochani, i gdy doświadczają tego, co znaczy być otoczonym relacjami miłości. Podstawowe upośledzenie, którego doświadczają wielu ludzi, którzy zwracają się o pomoc w swoich relacjach jest to, że nie byli kochani w odpowiedni sposób. Nie doświadczali w swoim życiu zdrowego kochania. Podobnie rzecz ma się w naszym chrześcijańskim życiu. Wielu z nas próbuje kochać innych bez prawdziwego uwierzenia, że naprawdę kochamy samych siebie. Próbuje kochać, ponieważ wiemy, że tak powinniśmy czynić. Niestety bardzo szybko przekonujemy się, że jest to bardzo krótkotrwała działalność. Próba kochania innych, ponieważ „jest to właściwa rzecz do zrobienia” posiada wartościowe elementy, ale bardzo szybko traci swoją energię. Aby kochać, potrzebujesz energii. Pierwszą cechą jakościową miłości, o której mówi Paweł w 1 Kor 13 jest „cierpliwość” – zdolność do długiego cierpienia (tolerowania). Miłość, która jest cierpliwa, ale jest bez energii, bez ducha Jezusa, wkrótce będzie miała znamiona ofiary i będzie neurotyczna.

Energia potrzebna do tego, aby kochać innych, trudnych i nieatrakcyjnych ludzi pochodzi ze zrozumienia, że my sami jesteśmy kochani. Wielu z nas posiada bliskich krewnych i przyjaciół, którzy zwrócą nam uwagę na trudne i nieatrakcyjne części nas samych i naszego zachowania, do których my wolelibyśmy się nie przyznawać. Sercem ewangelii jest poznanie – nie tylko w naszych głowach, ale także w naszych sercach, – że oddajemy chwałę Bogu-Człowiekowi, który kocha nawet te ciemne części nas samych, które pragnęlibyśmy odciąć i pozostawić gdzieś przy drodze! Energia aby kochać innych ludzi, nawet naszych wrogów pochodzi z wiedzy i doświadczenia, że wszystko to, kim jesteśmy jest kochane i akceptowane – że nawet wtedy kiedy jesteśmy uparci, pyszni i małostkowi, głupi, chciwi i (możesz tutaj wpisać swoją najgorszą cechę!) jest kochane.

Kiedy spoglądamy na Wielki Model, który jest przedstawiony w ewangeliach, znajdujemy Boga-Człowieka, który nie tylko zaakceptował ludzi, ale chciał być z nimi – nawet z tymi najbardziej grubiańskimi i najbardziej nieatrakcyjnymi. Znajdujemy Boga-Człowieka z Jego wyjątkową i pełną umiejętności energią, z niewyczerpanymi pokładami pomysłów, kreatywnym i konstruktywnym sposobem kochania – aby mimo wszystko odpowiedzieć na złe tendencje i destrukcyjną niepewność, którą znajdował w mężczyznach i kobietach, którzy byli wokoło niego. Boga-Człowieka, który był chętny, aby „być z” ludźmi nawet wtedy, gdy oni niezrozumieli Go i odrzucili wraz z Jego ideami. Boga-Człowieka, który modelował nadzwyczajne zdolności absorbowania przemocy bez przekazywania jej dalej – cecha, której bardzo potrzebujemy, kiedy wkrótce rozpoczniemy drugą dekadę XXI wieku.

Pochwycenie nawet najmniejszego przebłysku tej miłości, która przenikała tę szumowinę otaczającą Pana Jezusa oraz zidentyfikowanie zapachu tej idei, która została zaoferowana tej szumowinie, podobnie jak i nam, może być naszą odpowiedzią na taką miłość. Wdzięczność za tę miłość spowoduje, że zacznie w nas wzrastać mała iskierka tej miłości, cierpliwości i

zrozumienia dla ludzi w tym świecie, którzy są przecież tacy sami jak my - ludzie pozbawieni miłości!

DO PRZEMYŚLENIA

Kiedy Biblia nakazuje nam kochać Boga i kochać innych łącznie z ludźmi brzydkimi, aroganckimi, czy jest to coś, co możemy wybrać, aby czynić, lub czy taka miłość jest po prostu darem od Pana Boga?

W swojej małej książeczce pt. *The Four Loves*, C.S.Lewis analizuje cztery różne rodzaje miłości, trzy z nich są ludzkie: Sympatia, Przyjaźń, Eros; jedna z nich jest boska: Miłosierdzie (*agape*). Nowy Testament skupia uwagę na *agape* (miłosierdziu) i *filia* (przyjaźni). Lewis wymienia *agape* pod nagłówkiem „owoc Ducha”.

1. **Dlaczego Nowy Testament napomina nas abysmy bardziej naśladowali *agape*, a nie ludzkie rodzaje miłości, takie jak sympatia, przyjaźń czy eros?** W jaki sposób możemy zdefiniować i zilustrować *agape* w praktycznym języku? Czy opowiadanie o miłosiernym Samarytaninie (Łk 10,25-37) pomaga w tym zadaniu? Pan Jezus opowiedział tę historię w nawiązaniu do pytania jak powinniśmy kochać bliźniego. Czy powinniśmy oczekiwać, że taka miłość będzie spontaniczna, czy raczej będzie to akt woli?

Czy jest możliwe, że trzy rodzaje ludzkiej miłości mogą być „przedawkowane”, ale nie miłość *agape*? Wśród cech wymienionych pod nagłówkiem „owoc Ducha” znajdują się takie, które prawdopodobnie można byłoby sprowadzić do punktu ekstremalnego – być może tak można zrobić z radością, cierpliwością, dobrocią, uprzejmością. Czy jest możliwe, aby tak zrobić w przypadku *agape*?

Jeżeli miłość jest czymś, co spodziewamy się nabyć i okazać, to, w jaki sposób osoba wierząca powinna to zrobić? Czy ludzkie wysiłki mogą w tym pomóc?

Wolność i miłość. W kontekście fragmentu z Galatów 5,13-26 - fragment który opisuje owoc Ducha; wolność i miłość są zestawione razem w 5,13-14. Także w 5,16-18 fakt prowadzenia przez Ducha wydaje się wskazywać na wolność od potępienia przez prawo. Czy taki kontekst sugeruje, że kiedy miłość rozwinie się w pełni w naszym życiu, to zacznie pojawiać się spontanicznie? Lub, czy zawsze posiada ona charakter „wolitywnej” odpowiedzi na nasze ludzkie okoliczności?

Co dzieje się w życiu osoby wierzącej, jeżeli ktoś nie okazuje miłości? Ponieważ posiadamy naszą ludzką grzeszność, czy nie powoduje to, że nigdy nie możemy osiągnąć odpowiedniego pułapu? W *Drodze do Chrystusa* Ellen White przypomina nam, że „czym bliżej podejmiemy do Jezusa, tym bardziej grzesznymi będziemy się sobie wydawać w naszych własnych oczach”. Czy możemy oczekiwać lub mieć nadzieję w tym grzesznym życiu na spontaniczność obiecaną przez Jeremiasza w jego wizji nowego przymierza (Jr 31,31-34)?

Opracował Janek Pollok